



STARCRRAFT
HEART OF THE SWARM



EDUKACJA
SZEREGOWEGO
SHANE'A

Robert Brooks

BILZARD
ENTERTAINMENT

— Wszyscy z tych młodych mężczyzn i kobiet zgłosili się na ochotnika — przemówił Arcturus Mengsk. — Po miesiącach pełnego znoju i poświęceń szkolenia zasłużyli na miejsce w szeregach wspaniałych marines Dominion. Dołączyli do obrońców ludzkości. Postanowili stawić czoła okrucieństwu wszechświata.

Pomruki aprobaty odbiły się echem w zatłoczonej sali zgromadzeń. Promienie słońca wpadające do środka przez wysokie po suficie okna oświetlały przywódcę Dominion i pięć szeregów stojących na spocznij rekrutów odzianych w reprezentacyjne mundury.

Jeden z tych rekrutów — dziewiętnastolatek, Geoff Shane, wkrótce starszy szeregowy Geoff Shane — toczył wewnętrzną walkę i przegrywał. Z trudem powstrzymywał się przed szerokim uśmiechem i czuł się, jakby głowa miała mu eksplodować. Kąciki ust unosiły mu się mimowolnie.

Imperator przemawia na mojej przysiędze. Bohater Korhalu we własnej osobie. To niewiarygodne. Chciał się uszczypnąć, ale bał się, że wyłamie się z szyku. A to nie przystoi marine Dominion.

— Wciąż musimy stawiać czoła straszliwym zagrożeniom. Dwie krwiożercze i dzikie rasy obcych spoglądają na nas z zazdrością — kontynuował Mengsk. — Wyrzutki, łotry i dysydenci nadal działają na szkodę ludzkości i buntują przeciwko Dominion.

Imperator Mengsk przebiegł spojrzeniem po świeżo upieczonych żołnierzach.

— Ale dzisiaj oddajemy cześć tym oto rekrutom. Świątujemy ich sukces. Szkolenie dobiegło końca. Teraz są gotowi, aby zrobić pierwszy krok ku zwycięstwu nad naszymi wrogami.

Imperator zatrzymał wzrok na Shane'ie. Rekrut w odpowiedzi machinalnie uniósł głowę i uśmiechnął się niepewnie... Za późno przypomniał sobie, że jak na musztrze powinien stać ze wzrokiem skierowanym na wprost i zamkniętymi ustami.

Shane natychmiast spojrzął przed siebie jak należy. Mengsk zaśmiał się.

— Widzę, że ci młodzi bohaterowie są chętni i gotowi zmierzyć się z wszystkim, co wszechświat może na nich rzucić — podjął. — Chociaż niektórych przydałoby się jeszcze troszkę podszkolić.

Śmiech poniósł się echem przez tłum. Shane wbił wzrok w wykute ze stali insygnia Dominium wiszące wysoko za mównicą Mengska i pilnie się im przyglądał z rumieńcem wstydu na policzkach. Z rozpaczą poczuł, że znowu zaczyna się szczyrzyć. Miał wrażenie, że nigdy nie zmaże tej plamy.

Czekał, aż imperator wznowi przemowę. Tłum przycichł.

Mijały sekundy. Cisza się pogłębiła. Imperator Mengsk nadal milczał.

Nerwowy uśmiech zniknął z twarzy Shane'a. Czy coś się stało? Nie śmiał popatrzeć. Dłonie trzymane za plecami ścisnął w pięści. Panowała niezmacona cisza. Absolutny brak jakichkolwiek dźwięków stawał się przytłaczający.

Shane'a przeszły ciarki. Sala robiła nie tylko wrażenie pogrążonej w ciszy, ale i absolutnie pustej.

Nie słyhać było żadnych szmerów, zduszonych chrząknięć, żadne dziecko nie zapłakało. Młody żołnierz nie słyszał nawet oddechów. Niczego, co wskazywałoby, że ledwie kilka metrów za nim siedzą setki ludzi.

W uszach szumiała mu krew. Na czole pojawiły się krople zimnego potu. Shane'a zaczęła boleć głowa, a w brzuchu ścisnęło ze strachu. Nadal wpatrywał się w insygnia, ogarnięty irracjonalnym strachem przed spojrzeniem na podium.

Wyobraził sobie, że imperator Mengsk i cały tłum oraz pozostali rekruci patrzą na niego czekając na kolejne potknięcie marine Dominium.

Tylko jedno, szybkie spojrzenie — pomyślał. Mijały kolejne sekundy. Shane nie mógł się zdobyć na odwagę. *Szybki rzut oka. Imperator uznał to za zabawne poprzednim razem. Nie obrazi się.*

Shane nadal nie mógł się ruszyć. Chciał, żeby przemowa była kontynuowana. Żeby tłum się zaśmiał. Żeby stało się cokolwiek, byle ból głowy i nieprzyjemne ciśnienie wewnątrz czaszki zniknęły.

Wreszcie opuścił wzrok. Nie wierzył w to, co widzi. Zerknął jeszcze raz na mównicę.

Mengsk zniknął.

Podobnie, jak wszyscy rekruci. Szeregowy odwrócił się spanikowany.

Tłumu też nie było. Shane stał sam pośrodku pustej sali zgromadzeń.

Oślupiał ze zdumienia. To niemożliwe. Jedna osoba mogła się wymknąć niepostrzeżenie, ale wszyscy? Setki? W jednej chwili?

Nie. Nie wszyscy. W ostatnim rzędzie ktoś siedział, światło padało bezpośrednio na niego. Postać była wielka i szeroka, za duża, aby wygodnie rozpiąć się w fotelu.

Shane rozpoznał natychmiast. Marine w pełnym bojowym pancerzu Dominionum.

— Hej! — Shane’a zaskoczyła panika we własnym głosie. — Hej!

Żadnej reakcji. Opancerzony marine wyglądał tak, jakby gapił się w podłogę.

— Hej, ty tam! — Shane wrzasnął ponownie. Nic. Brak jakiegokolwiek reakcji. Nagle wezbrał w nim ogromny gniew.

To jego sprawa — przez głowę rekruta przemknęła irracjonalna myśl. *Tego marine.*

Shane nie miał absolutnie żadnych wątpliwości. Cokolwiek stało się z rzeszą ludzi, sprawił to żołnierz z ostatniego rzędu.

To miał być wyjątkowy dzień Shane’a. Oficjalne zakończenie jego szkolenia. Początek wspaniałej służby dla Dominionum. Gniew zamienił się w ognistą furję. Jeśli będzie trzeba, to rekrut zębami otworzy pancerz *tego marine.*

Shane wziął głęboki oddech.

– Co z nimi zrobicieś? – krzyknął.

Brak odpowiedzi. Tego było już za wiele.

Rzucił się pędem przez środkowe przejście między pustymi siedzeniami. Wzrok skupił na samotnym marine. *Tym marine.*

Rekrut w kilka sekund przebył dzielącą ich odległość i z dzikim rykiem skoczył na opancerzoną postać.

Marine ani drgnął, dopóki Shane nie znalazł się nad ziemią.

Wtedy intruz podniósł głowę.

Młodemu żołnierzowi zdało się, że piekło zamarzło w ułamku sekundy, a czas się zatrzymał. Ciśnienie w głowie Shane'a zamieniło się w agonię.

Na dziewiętnastoletniego rekruta patrzyła jego starsza wersja o zmęczonej, pooranej wojennymi bliznami twarzy. Stary Geoff Shane, o beznamiętnym, nieludzkim spojrzeniu.

Shane z rozpędu wpadł na marine. Na siebie. Rękami oparł się o pancerz żołnierza. Metal był przeraźliwie zimny.

Shane mrugnął.

— Wszyscy z tych młodych mężczyzn i kobiet zgłosili się na ochotnika — przemawiał Arcturus Mengsk — Po miesiącach pełnego znoju i poświęceń szkolenia, zasłużyli na miejsce w szeregach wspaniałych Marines Dominion. Dołączyli do obrońców ludzkości. Postanowili stawić czoła okrucieństwu wszechświata.

Pomruki aprobaty odbiły się echem w zatłoczonej sali zgromadzeń. Promienie słońca wpadające do środka przez wysokie po suficie okna oświetlały hologram przywódcy Dominion na podium.

Zdawało się, że podobizna Imperatora Iśni. Nawet od hologramu, choć naturalnych rozmiarów, biła niezwykła charyzma przyćmiewając pięć długich szeregów rekrutów w galowych mundurach.

Jeden z rekrutów — dziewiętnastoletni Geoff Shane, wkrótce starszy szeregowy, stał sztywno sparaliżowany z przerażenia.

Co się właśnie stało?

Coś strasznego. Shane próbował kogoś zamordować. *Chciałem zamordować siebie* — pomyślał. Nie. To był tylko sen. To nie mogła być prawda.

Wszystko działo się w jego umyśle. Shane wyobrażał sobie tylko, że imperator Arcturus Mengsk osobiście zawitał na jego przysięgę, to wszystko. *W snach dzieją się najdziwniejsze rzeczy.* Shane pomyślał, że miał szczęście — we śnie został sam, ale przynajmniej w spodniach.

Często zasypiasz na oczach setek ludzi — zadał sobie pytanie. Do tego na stojąco?

Shane się wzdrygnął.

— Wciąż musimy stawiać czoła straszliwym zagrożeniom. Dwie krwiożercze i dzikie rasy obcych spoglądają na nas z zazdrością — mówił Mengsk. Shane'owi przyszło do głowy, że przemowa jest nagrana. Mało prawdopodobne, żeby przywódca Dominion marnował czas na zwykłej ceremonii kończącej szkolenie.

Shane'a znowu rozboleła głowa. Wróciło rosnące ciśnienie w czaszce, jakby umysł szeregowego wstrzymywał oddech i zaczynało mu powoli brakować powietrza. Ból był mocniejszy niż najsilniejsza migrena i nie zanosilo się na to, aby miał ustąpić.

Shane przełknął ciężko ślinę i próbował skupić na mowie Mengska. Minęła chwila, zanim zorientował się, że imperator milczy. Znowu.

Nie. To niemożliwe. Rekrut zaryzykował spojrzenie na podium. Hologram zniknął.

Nie, to nie do wiary. Nie, to być nie może – pomyślał Shane. Znowu wszyscy zniknęli. Wiem to...

Szeregowy obrócił się w panice, gotowy do ucieczki. Niemal tysiąc zgromadzonych obywateli Dominium wlepiło w niego wzrok.

Młodzieniec zamarł. Głowa mu pękała. Strzelał oczami na lewo i prawo. Czy rekruci też się na niego gapili?

Nie. Ponieważ zniknęli. Wszystkie oczy w wypełnionej po brzegi sali zgromadzeń były wbite w Shane'a. Widział twarze w tłumie, malowały się na nich: obrzydzenie, strach, groza, gniew, ciekawość. Zebrani patrzyli na niego, jakby był potworem.

Czym sobie na to zasłużyłem? Rozgorzał w nim gniew. Ponownie.

– Na co się gapicie? – zapytał cicho. Tłum nadal patrzył.

Okropne, czarne myśli przemknęły Shane'owi przez głowę. Wspaniale dzikie wizje śmierci. Poczuł niesamowity, oczyszczający gniew. Naturalny, szczery i słuszny.

Kątem oka dostrzegł sylwetkę na końcu pomieszczenia. Ktoś wstał? Nie. Po prostu był większy od reszty. Potężna postać siedziała w za małym dla niej fotelu.

Marine w pełnym pancerzu bojowym.

Shane rzucił się pędem między siedzenia. Ból i gniew w nim wrzały, a jego słowa gwałtownie przerwały ciszę.

— Zabiję cię, spalę żywcem...!

W napadzie furii nie zauważył, że na twarzach tłumu pozostał ten sam wyraz. Oczy zgromadzonych wlepione były w Shane'a, ale nikt nie zareagował na jego wybuch.

Rekrut zbliżył się do nieruchomego człowieka w pancerzu. Chciał od razu się na niego rzucić, rozerwać i zniszczyć.

– Pozwól sobie pomóc – odezwał się miękko marine. Jego słowa bez trudu przebiły się przez wrzask Shane’a.

Szeregowy zatrzymał się ledwie kilka kroków od marine i popatrzył ze zdumieniem. Żołnierz mówił głosem Shane’a.

Człowiek w pancerzu nie wykonał żadnego ruchu. Dalej wpatrywał się w ziemię.

– Pozwól sobie pomóc – powtórzył.

Shane nie wiedział, jak zareagować. Nic nie rozumiał. *Pomóc? W czym?*

– Kim jesteś?

Marine podniósł rękę i spojrzał na Shane’a przez przezroczysty wizjer w hełmie. Nic nie powiedział. Nie musiał. Rekrut zrozumiał odpowiedź. Ujrzał swoją twarz, naznaczoną wojennymi bliznami.

Straszliwa prawda, stłumiona i skryta dotąd w najgłębszych zakamarkach umysłu Shane’a, wyszła teraz na jaw. Tłum nadal w milczeniu wbijał wzrok w rekruta. Tylko w niego. Wszystkie oczy zwrócone były na Shane’a, który miał coraz większą migrenę.

– To sen – napomniął się z uporem. Przypomniął sobie urywki starego filmu, w którym nadęci lekarze opowiadają o roli snów. – Jesteś tylko złudzeniem, wytworem mojej wyobraźni. Obrazujesz to, o czym nie chcę mówić. Jesteś moją podświadomością, tak?

Marine potrząsnął przecząco głową.

– Nie jesteśmy tobą – odpowiedział. – Jeszcze nie.

– My? – Shane ledwo panował nad emocjami, choć głos miał spokojny. – Jacy my?

Marine podniósł rękę i wskazał na okna. Rekrut również spojrzał, ale nie zauważył niczego poza światłem dnia. Obrzucił marine surowym spojrzeniem i podszedł do okna. Tłum śledził go oczami.

Shane zatrzymał się kilka kroków od ściany.

– Na co patrzę?

– Na nas.

– Co to znaczy?

Brak odpowiedzi. Shane poczuł, jak znowu wzbiera w nim gniew, ale wyrzał za okno.

Wszystko było jedną, pulsującą masą. Dosłownie. Rzeźba terenu przypominała równiny z rzadko rosnącymi drzewami, ale to, na co patrzył rekrut, stanowiło tak naprawdę kotłujący się chaos, dziki, organiczny krajobraz, który miał oczy.

Shane zdrętwiał. Zachwiał się. Nadludzkim wysiłkiem woli utrzymał się na nogach.

Małe, czteronożne stworzenia przemykały z miejsca na miejsce, unikając większych, wijących się organizmów. Ogromne bestie, wysokie na dziesiątki metrów, przemieszczały się niezdarnie i ociężale. Fałdy mięsa zwisały niczym kończyny bez kości, a strzeliste stożki żywej tkanki wypluwały z siebie setki kolejnych stworzeń.

Widok ciągnął się po horyzont. W umyśle Shane'a pojawiły się obrazy planet rojących się od widzianych stworzeń. Przemierzały kosmos w poszukiwaniu nowych siedlisk. Skala zjawiska porażała i wykraczała daleko poza ludzką wyobraźnię, ale rekrut miał świadomość, że miliardy tych istot działają w przerażającej harmonii.

Zergi. To były zergi. Ich rój. Pozwalały Shane'owi się zobaczyć. Zmuszały, żeby je zobaczyć.

Co za „my”? – pytał Shane. I oto miał odpowiedź. Zergi. A imię ich Legion.

Odwrócił się. Audytorium znowu było puste, został tylko marine w pancerzu. Shane zignorował nieobecność tłumu. Poczuł spokój. Idealną harmonię. Nawet się uśmiechnął.

– Nic z tego nie jest prawdziwe – powiedział. – To tylko sen.

– Nie. – Marine znowu pokręcił przecząco głową. – Uważamy, że część jest prawdą.

– Która część? Tłum rozplywający się w powietrzu? Marine z moją twarzą, który do mnie mówi? – uśmiech Shane'a zamienił się w grymas.

– Poznajesz to miejsce? – Marine-obcy wskazał na przód pustej sali.

– To tutaj oficjalnie skończyłem szkolenie – odpowiedział Shane.

– Wojskowe – dokończył obcy.

– Tak.

– Jesteś pewien?

Już nie.

– Tak – skłamał Shane i ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu. Był tutaj wcześniej, na pewno. Ale przyjemne wspomnienia napawające go dumą i honorem, które zawsze mu się kojarzyły z audytorium, zmieniły się, popsuły. Wynaturzyły.

Shane'a ścisnęło w gardle, kiedy z głębi duszy wypłynęło zamglone wspomnienie, a raczej cień wspomnienia. Rekrut poczuł słodki zapach dymu.

– Ten człowiek, Mengsk – syknął marine. – Mówił do ciebie tego dnia?

– On... tak – odparł Shane.

Na pewno?

Przypomniał sobie, jak wierzył, że Arcturus Mengsk osobiście zaprzysiął go do służby. A przecież to było niemożliwe, prawda? Przemowę transmitowano przez holoprojektor albo nagrano wcześniej. Shane nie mógł sobie przypomnieć.

– Osobiście?

– Ej – oburzył się. – Co robisz w moim śnie? Dlaczego w ogóle zadajesz mi pytania?

Poczuł, jak w głowie mu pulsuje w rytmie przyspieszonego bicia serca. Ból był ogromny.

Marine milczał przez chwilę.

– Mówiliśmy ci, że to nie jest sen.

Dosyć tego! Shane z całych sił kopnął jedno z pustych krzesel, aż poleciało i z hukiem spadło kilka rzędów dalej, przewracając kolejne. Hałas był niezwykle satysfakcjonujący.

Od kopnięcia zabolą go noga. W palcach stopy zaczęło Shane'owi pulsować rytmicznie, tak jak w głowie. To nadal sen? Jeśli tak, czemu ból wydawał się całkowicie realny?

Rekrut wskazał palcem na marine.

– Wypuść mnie. – Domyślał się, że za wszystkim stoi opancerzona postać. Za wszystkim. – Skoro to nie jest prawdziwe, to nic nie jest. Co oznacza, że to tylko sen. Wypuść mnie.

– To nie sen – zaprzeczył starszy Shane. – To wspomnienie.

W auli zapanowała długa cisza.

– Wspomnienie?

– Tak.

– Wspomnienie, które się zmienia?

– Tak.

– Jak to możliwe?

– To wspomnienie wydarzeń takich, jakimi je zapamiętałeś.

– To wszystko wyjaśnia – prychnął ironicznie Shane. Poczul mdłości. Był coraz bardziej przekonany, że on – jego wynaturzona wersja o pozbawionym wyrazu spojrzeniu – stara się przekazać mu prawdę, najlepiej, jak umie.

Migrena nie ustępowała. Rekrut czuł, jakby głowa miała mu eksplodować. Przyłożył palce do skroni. Ból był oślepiający.

Marine powoli wstał. Podłoga zaskrzypiała od ciężaru pancerza.

– Pamiętasz Mengska? – ponownie wysyczał to imię. — Jak do ciebie przemawiał?

– Nie było go tam osobiście – odpowiedział Shane przez zaciśnięte zęby. Teraz był tego pewien.

– Ale tak to zapamiętałeś – to nie było pytanie. Shane nie odpowiedział. Marine wyprostował się. Górował na rekrutem. – Ale czy zdarzyło się naprawdę?

– Dobra – warknął Shane. Złapał się za głowę. Walczył, aby nie zamknąć oczu. – To nie było prawdziwe. No i co z tego?

– Wspomnienie jest fałszywe. Co jeszcze jest fałszywe?

Pytanie było proste. Nie nadwyrężyło zbytnio umysłu Shane'a. Ale to wystarczyło. Poczuł, jak umysł mu się rozwiera. Powoli. Jakby dłonie rozciągały grubą tkaninę, która w najłabszych miejscach zaczynała się pruć. Zadrzał. Zdało mu się, że wraz z nim zadrzała rzeczywistość.

Shane zauważył małe, czarne plamy latające po całej auli. Niewielkie okna na otchłań szaleństwa. Tańczyły mu przed oczami, a gdy się stykały, zlewały się w jedno. Niektóre z małych punktów rozrosły się w ziejące dziury.

Nie było gdzie uciec. Ciemność miała go pochłonać.

Co jeszcze jest fałszywe? Shane wiedział, że jeśli odpowiedź brzmiała „wszystko”, oznaczała całkowity obłąd. Desperacko próbował skoncentrować się na odwrotnym pytaniu: *Co jest prawdziwe?*

Aula. Była prawdziwa. Stanowiła twardy grunt, na którym Shane mógł się oprzeć. Rozdarcie zniknęło. Ból głowy nie zmalał ani trochę, ale też się nie zwiększył. Dziury zawisły w powietrzu, drząc.

– Widzieliśmy to już u waszego gatunku – stwierdził opancerzony Shane. – Często. To normalne, że się boisz. Nie ma już odwrotu od... od tego. – Wskazał na jedną z większych dziur. Trzęsa się niczym wściekły pies na napiętej smyczy. Chciała rosnąć. Chciała pochłonać umysł Shane'a. Cały umysł.

Nie ma odwrotu. Shane wierzył. Było w tym coś ostatecznego. Zdobył się tylko na szept.

– Jak to zatrzymać?

Odpowiedź przyszła bez wahania.

– Pozwól sobie pomóc.

Shane chciał krzyknąć: „Zróbcie to, pomóżcie mi!”. Ból nieznacznie wzrósł. Ciemność zadrżała w oczekiwaniu.

– Jak?

– Odrzucimy kłamstwa. Ale musisz nas wpuścić.

Shane otworzył oczy szeroko. Nas. Ich. Zergi.

Rój.

Dotykały już jego umysłu. Zergi były tutaj, mówiły do niego jego własnym głosem. I Shane nagle zrozumiał. Poczuł więź między stojącym przed nim marine a masami zergów za oknem. Byli jednym i tym samym.

– Bydlę! – Ból głowy się pogorszył, ale Shane miał to gdzieś. Dziury w rzeczywistości rosły. – Wynoś się z mojej głowy. Precz!

Skupił się i bez namysłu wybuchł, atakując bez udziału świadomości, bez zrozumienia, jak to robi. Opancerzony marine zniknął. Oczy postaci pozostawiły fioletowy powidok. Shane spojrzął za okno. Zergi też zniknęły.

Ciśnienie w głowie jednak się utrzymywało. I robiło się coraz gorsze. Teraz Shane był w sali zupełnie sam.

Upadł na kolana. Wbił palce w głowę. Paznokciami zaczął szarpać skórę głowy, aż ciepła krew pociekła mu po twarzy.

Umieram.

Zapadła cisza tak głęboka, że zaczęło mu ogłuszająco dzwonić w uszach. Shane wrzasnął. Jego głos wydał mu się cienki i odległy. Część dziur w rzeczywistości urosła od podłogi po sufit i sięgała już poza pomieszczenie. Nadal łączyły się i podwajały rozmiary z każdym uderzeniem serca rekruta. Lada moment ciemność ogarnie wszystko.

Shane czuł, że ciśnienie w głowie rozerwie mu umysł. Ale alternatywy bał się jeszcze bardziej. *Nie wpuszczę ich. Nie wpuszczę.*

Bronił się z szeroko otwartymi oczami. Aula zniknie wraz z resztkami jego poczytalności. A potem przed oczyma Shane'a pozostanie tylko pustka.

Myśli mu zawirowały, desperacko próbował znaleźć wyjście. Aula jest prawdziwa. To wiedział. Wszystko inne z ceremonii zaprzysiężenia było odległym i niewyraźnym wspomnieniem. Rekrut skupił się na sali. To będzie jego oparcie.

Ciśnienie napierało jak wściekła rzeka, która w każdej chwili mogła go porwać w ciemność. Shane porzucił wszystkie inne myśli i uczepił się jedynej, której był pewien. Przed nim rozwarła się paszcza obłędu.

Prąd rył kaniony w jego świadomości. Shane trzymał się kurczowo, gdy chaos odrywał z jego umysłu kolejne części, ujawniając czystą, pierwotną i gładką powierzchnię.

Wspomnienie Shane'a o przysiędze roztrzaskało się i rozplynęło w powietrzu. Zniknęło.

Zniknęła przemowa imperatora Mengska. Zniknęli rekruci.

Zniknęło ciśnienie. *Zniknęły kłamstwa.*

Została tylko aula.

Shane zamrugął.

– Oto wyrok niezawisłego sądu Dominium – sędzia zawiesił głos i spojrzał na oskarżonego. – Punkt pierwszy oskarżenia – morderstwo z premedytacją: winny. Punkt drugi oskarżenia: tortury i przemoc prowadząca do śmierci ofiary: winny. Punkt trzeci oskarżenia, podpalenie prowadzące do śmierci ofiary: winny.

Z każdym punktem pomruki aprobaty na sali stawały się coraz głośniejsze. Światło zza sięgających sufitu okien padało na skazańca i podtrzymujących go w pionie strażników sądowych.

Dziewiętnastoletni Geoff Shane, wkrótce osadzony Geoff Shane, nie zwracał uwagi na sędziego, który kontynuował ogłaszanie wyroku.

– Zbezczeszczenie zwłok ofiary brutalnego przestępstwa: winny.

Kiedy obrońca powiedział mu, że zostanie oskarżony o ponad dwadzieścia różnych zbrodni, Shane się roześmiał. Aż tyle? Za jednego ćpuna?

– Muszą wyrobić normę, czy co? – zapytał.

Parsknął na strażnika sądowego po lewej, który ścisnął go mocno za łokieć.

– Okaleczenie: winny. Podanie narkotyków z użyciem siły prowadzące do śmierci ofiary: winny.

– Zabiję cię – szepnął Shane do strażnika u boku. – Spalę żywcem. Co ty na to?

Strażnik nawet na niego nie spojrzał. Ścisnął tylko mocniej. Nie wyglądał na przestraszonego. Shane poczuł, że znowu wzbiera w nim gniew. Czerwona mgła przestoniła mu pole widzenia. Wyobraził sobie, jak ta świnia płonie żywcem.

Shane poczuł na sobie osądzające spojrzenie tłumu. *Jakby nigdy nie zrobili niczego złego.*

– Na co się gapicie?! – krzyknął. W odpowiedzi otrzymał cios otwartą dłonią w twarz od strażnika po prawej. Shane na niego warknął.

– Oskarżonemu nakazuje się zachowanie ciszy – powiedział sędzia. – Punkt szesnasty oskarżenia, podpalenie z zamiarem zniszczenia dowodów zbrodni: winny.

Lista oskarżeń robiła się coraz dłuższa. Chociaż Shane się uśmiechał, za tą fasadą krył się wzrastający niepokój. Szeregowy ze zgrozą obserwował przebieg posiedzenia.

To nie może być realne. To się nie dzieje naprawdę.

Kiedy sędzia czytał kolejne wyroki skazujące, Shane próbował to wszystko wyprzeć ze świadomości, jak kolejne kłamstwo lub fałszywe wspomnienie. Tego się trzymał. To była naga prawda.

Z dala od kłamstw, na powierzchnię świadomości wypłynęło wreszcie to słowo: *resocjalizacja*. Dominium ukryło przed Shane'em jego zbrodnie i zastąpiło silnymi, pozytywnymi wspomnieniami, warstwa po warstwie. Sama idea resocjalizacji, samo słowo, zostało odizolowane i zagrzebane głęboko, dopóki przeoranie umysłu nie ujawniło jej wraz z resztą tajemnic.

Shane widział, jak kłamstwa zostały zmienione we wspomnienia, zakotwiczone do czegoś, co było pewne i prawdziwe. Zamiast odpowiadać za morderstwo przed sądem, uczestniczył w ceremonii zaprzysiężenia na marine prowadzonej przez przywódcę Dominium. Zamiast konfrontacji z pogardą mściwego tłumu, Shane ślubował wierną służbę i nagrodzono go oklaskami. Piękna fikcja została starannie wpleciona w jego umysł, aż z prawdy nie zostało nic.

Shane desperacko próbował uwierzyć, że proces też był kłamstwem. Ale ten proces – a raczej skazanie – dobiegał końca. Chłopaka ogarnęło to samo poczucie pewności, co wcześniej. Oto prawda.

Kłamstwa zniknęły. Prawda została ujawniona.

Ujawniona przez zergi – pomyślał Shane czujnie.

Sędzia kończył czytać ostatnie werdykty – winny w 23 punktach oskarżenia – i zapytał Shane'a, czy chłopak miał do powiedzenia coś na swoją obronę. Dziewiętnastolatek

wyszczерzył tylko paskudnie zęby i co sił w płucach zaczął rzucać przekleństwami, aż strażnicy sądowi powalili go i przyłożyli metalowy knebel do ust.

To tylko bardziej rozwścieczyło Shane'a. Gdy nieskładnie rzucał obelgi z podłogi, sędzia odczytywał wyrok, na który czekała zgromadzona publika: śmierć.

Rozległ się aplauz. Woźny przywołał wszystkich do porządku. Strażnicy wyprowadzili skazanego Geoffa Shane'a z sali rozpraw do celi. Nie będzie apelacji. Wyrok zostanie wykonany przed zachodem słońca.

Shane wiedział, co naprawdę się stanie. Świadoma część jego umysłu błagała z krzykiem, aby wspomnienie się urwało. Nie chciał znowu tego doświadczać. *Nigdy więcej.*

Wyciągnięto go z transportera. Zaprowadzono do szarego baraku. Wepchnięto do windy, która zjechała głęboko pod ziemię.

Nigdy więcej, proszę.

Shane trafił do pokoju o białych ścianach. Przetrzymano go tam kilka godzin, ignorując jego przekleństwa, groźby i krzyki. Czuł panikę przed nieuchronnym spacerem do celi śmierci.

Szeregowy zdawał sobie sprawę, że nie zostanie stracony. Wiedział, że przyda się Dominionum. Wiedział, że niedługo przyjdą żołnierze i zaciągną do ciemnego pokoju z insygniami Dominionum. Wsadzą skazańca do jednej z tych strasznych tub. I wtedy zacznie się ból, a wspomnienia Shane'a zaczną się zmieniać.

To będzie jego prawdziwe zaprzysiężenie. Prawdziwe wcielenie do służby wojskowej Dominionum. Błagał w duchu o pomoc. Jakąkolwiek.

Wkrótce nadeszła.

W pokoju pojawił się marine w pełnym pancerzu bojowym i popatrzył na skazańca beznamiętnie. Zdawało się, że oczy żołnierza świecą.

Dwóch Shane'ów spojrzało się na siebie w ciszy.

– Pozwól sobie pomóc. – Marine o twarzy Geoffa Shane'a przerwał milczenie.

– Kim jesteś? – Shane'owi głos się łamał.

– Jesteśmy tym, czym ty możesz się stać.

Shane przypomniał sobie widok z okien auli. Przypomniał sobie nieskończone morze zergów.

– Jak mogę stać się taki, jak wy?

– Poproś.

– Nie.

– Pozwól sobie pomóc – powtórzył marine.

– Nie potrzebuję takiej pomocy – odparł Shane.

– Potrzebujesz. Znamy ten rodzaj bólu. Widywaliśmy go u innych z twojego gatunku – w głosie marine nadal nie było emocji. – Często. Wasi przywódcy lubią go zadawać.

Shane'a ogarnęło poczucie bezradności. Dla tej istoty wspomnienie zbrodni Shane'a było tylko bólem.

– To, co zrobiłem, jest niewybaczalne.

– My to akceptujemy.

Stwierdzenie zaskoczyło Shane'a.

– Co?

– Akceptujemy to.

– Szukacie takich, jak ja? – Zabrzmiało, jak dobry powód, żeby odmówić.

– Akceptujemy to, tak jak oni.

Shane splunął. Szarpnął zakutymi w kajdany rękami.

– Dominium mnie nie akceptowało. Zmieniło mnie.

– Tak.

Shane zastanawiał się, do czego odnosi się potwierdzenie. *Tak, Dominium cię zmieniło, czy Tak, nie zaakceptowało cię.*

Zamknął oczy. Powrócił kolejny obraz stłumiony przez resocjalizację. Shane przypominał sobie zdeformowanych marines kroczących ociężale między zergami. Byli uzbrojeni, posiadali macki i nie zostało w nich nic ludzkiego. Marines zniewoleni.

Zainfekowani.

Groza ścisnęła mu żołądek. Shane — starszy szeregowy Geoff Shane — widział ich na własne oczy. Walczył z nimi. Patrzył z satysfakcją, jak wypalacze palili ich żywcem. Zainfekowanych nie trzeba było się obawiać. Traktowano ich jak zergi. Cele ataków Dominium. Resocjalizacja nie pozwalała myśleć o nich w żaden inny sposób.

Starszy szeregowy Shane walczył z zainfekowanymi w niezliczonych bitwach. Starszy szeregowy Shane zawsze zwyciężał.

Nie widział powodu, żeby zmieniać stronę konfliktu.

– Akceptujemy to – powtórzył marine.

– Nie akceptowaliście ich, tylko zabiliście – zaproponował szeregowy Shane.

– Wy ich zabiliście – poprawił marine. Mówił dosłownie. Starszy szeregowy osobiście zastrzelił mnóstwo plugastwa.

– Byli martwi, zanim ich spotkałem.

– Nie.

– Zmieniście ich w was – powiedział Shane.

– Tak. My ich akceptujemy – odpowiedziały zergi.

– Dranie. Wy... – Shane zamilkł. Słowa odbiły mu się echem w głowie. *Zergii ich zmienili.*

– Nie zmienili stron. Nie mieli wyboru. Złapaliście ich i zmieniliście. – Poczł ucisk w dołku.

– Wybrali.

Shane ledwo słyszał marine. Nareszcie udało mu się połączyć fakty.

– Mnie też złapaliście. – Gdy to powiedział, głos drzał mu tylko nieznacznie.

Marine zergów o twarzy szeregowego Shane'a nie odpowiedział.

– Gdzie teraz jestem? – Shane nawet się nie rozejrzył.

Brak odpowiedzi.

– Pojmaliście mnie? Obudźcie mnie. Chcę to zobaczyć.

– Nie.

Zostałem pojmany. Shane próbował się uspokoić. Zainfekowani, których widział, mieli zdeformowane ciała. Gdyby nie dwie ręce i dwie nogi, w niczym nie przypominaliby ludzi. A zergii uśpiły jego umysł, kontrolowały wspomnienia, a w tym czasie robiły Bóg wie co z jego ciałem.

Możliwe, że jest już jednym z nich. *A może nie.* Shane uczepił się tej myśli. Może jeszcze nie jest za późno. Musiał uciec. Jeśli zergii go uśpiły, uwięziły w jego wspomnieniach, ucieczka będzie niemożliwa. Musiał je przekonać, żeby go obudziły.

– Chcę zobaczyć – powtórzył Shane.

– Nie.

– Tak.

– Nie, dopóki nie pozwolisz sobie pomóc.

– Nie – upierał się Shane.

Marine przez chwilę stał w ciszy. Nagle znajome ciśnienie w czaszce wróciło. Ból był niewielki, w niczym nie przypominał czystej agonii, którą chłopak przeżywał wcześniej. Napięcie zdawało się szarpać, wykręcać świadomość Shane'a, nie mógł znaleźć w niczym oparcia, czuł jak traci zmysły.

Uśmiechnął się. To nic. Mogę tak całą wieczność.

– Ojej. To już nie działa? Dziwne. Coś czuję, że już nie macie mnie jak zranić.

Marine nie odpowiedział, a Shane uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bez resocjalizacji nie możecie wejść w mój umysł? Potraficie mnie tu zatrzymać, ale nie możecie znowu rozdrzeć mi umysłu, prawda?

– Pozwól sobie pomóc – powiedział tylko marine zergów.

– Wy tępę bydlaki. To już nie działa. To tak łamiecie marines? Popychacie na skraj szaleństwa i czekacie, aż spanikują? – Shane spojrzał na swojego sobowtóra. – Założę się, że ból od usuwania resocjalizacji jest niezłym motywatorem. A wy tylko czekacie, wyciągacie dłoń. „Pozwól sobie pomóc”? Idźcie do diabła.

Marine nadal milczał. Shane'owi to nie przeszkadzało. Dopiero się rozgrzewał.

– Prawie rozerwaliście mi mózg na strzępy. Prawie mnie zabiliście, ale wyrzuciłem was, odzyskałem nad sobą władzę – w jego głosie zabrzmiał sarkazm. – Czy to nie dziwne? Czy to znaczy, że jestem wyjątkowy?

W końcu marine odpowiedział.

– Nie. Inni postępowali podobnie.

– Potrzebujecie współpracy, tak? Nie możecie nas, ot tak, po prostu złamać. Muszę was wpuścić – zaśmiał się Shane. Poczł się świetnie. *Nareszcie mam nad nimi przewagę.* – Wiecie co? Nie mam zamiaru współpracować. Nigdy. Straciliście swoją szansę i nic na mnie nie macie. Zabijcie mnie albo obudźcie, żebyśmy mogli porozmawiać. Mnie wszystko jedno.

Marine spuścił wzrok. Wyglądało na to, że się zastanawiał... zastanawiały się. Minęła dłuższa chwila. Marine znowu spojrzął na Shane'a.

– Nie ma ucieczki. Moglibyśmy cię zmusić, jeśli zechcemy.

– Gdybyście mogli, zrobilibyście to od razu – odpowiedział Shane.

– Ciągłe możemy. – Chłopaka przeszły nieludzkie spojrzenie. Głos marine, własny głos Shane'a, zmienił się w zimny głos obcego. Wszelkie pozory człowieczeństwa zniknęły. – Ale nie musimy. Możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

Marine zniknął. Shane był sam w białym pomieszczeniu.

Minęło kilka godzin. Zergi nie wróciły. Przyszli oficerowie Dominium i zaciągnęli krzyczącego i kapiącego Shane'a do zbiornika resocjalizacyjnego.

Znudzeni naukowcy przystąpili do pracy.

Przezroczysta pokrywa tuby zamknęła się i Shane zaczął krzyczeć, gdy pojawił się ból. Żaden z oficerów ani naukowców nawet nie zwrócił na to uwagi. Chłopak czuł, jakby go mordowano i sprawiano jeszcze gorsze męki. Okrucieństwo w najczystszej postaci.

Głowa pulsowała mu w agonii. Przed oczami wyobraźni pojawiały się i równie szybko zniknęły wspomnienia.

Shane nie potrafił nad tym zapanować. Nie rozumiał, co się dzieje. Przemknęło mu przed oczami całe życie. Rzucił się i przeklinał.

Teraz rozumiał. Naukowcy zbadali jego wspomnienia. Skatalogowali je. Znaleźli te, które sprawiały największy ból. Kazali przeżyć je na nowo. Dopiero potem je zmienili.

Zamrugał. Zaczęli od początku. Zaczęli od bólu.

Ośmioletni Geoff Shane przewrócił się na plecy. W głowie mu się zakręciło, z nosa pociekła krew.

Ojciec stał nad nim z zaciśniętymi pięściami i krzyczał, każąc przeprosić. Geoff zaczął przepraszać, chodziło o jakieś krzesło, które niechcący połamał. Głowa go bolała od uderzenia.

Szeregowy Shane nie tylko przypominał to sobie, lecz przeżywał wszystko na nowo. W głowie mu się kręciło. Język miał spuchnięty i zdrętwiały. Kilka zębów po lewej stronie się poluzowało. Wyczuwał jadowicie ostry zapach whiskey w oddechu ojca. Słyszał młodszego siebie, jak mamrocze kolejne przeprosiny, i poczuł kolejny cios.

Ojciec domagał się bardziej szczerych przeprosin.

– Powiedz, że jest ci naprawdę przykro – rzucił po pijaku.

Nie śmieję się – wyjęczał starszy Shane. Ale chłopiec go nie słyszał. Oszołomiony ośmiolatek śmiał się bez strachu.

– Mama nie żyje, zresztą i tak nie spodobałoby się jej to krzesło – zachichotał.

Pieść ojca przecięła powietrze i na chwilę wspomnienie się zamazało. Trzasnęły pękające żebra i ból w głowie Shane'a się wzmógł. Kiedy chłopiec wreszcie odzyskał przytomność, myślami był gdzie indziej. Strach zniknął całkowicie, a jego miejsce zajął pulsujący gniew i cierpienie. Serce waliło Geoffowi tak mocno, że w uszach słyszał szum krwi. Na czole miał krople potu.

Głowa go bolała, jakby miała pęknąć w szwach.

Ojciec zasnął. Albo go zamroczyło. Żadna różnica. Geoff stanął w drzwiach sypialni i popatrzył, jak pierś mężczyzny powoli się podnosi i opada. Chłopiec chciał chwycić za należący do ojca nóż lub rewolwer „Koprułu Special” z chromowanym uchwytem.

Śpiący beknął. Po pokoju rozniósł się odór alkoholu.

Ośmiolatek chwiejąc się poszedł do kuchni. Zauważył na stole w połowie opróżnioną butelkę gorzały. Powąchał ciemnobursztynowy płyn. Zastanowił się.

Szeregowy Shane nadal milczał w odrętwieniu.

Geoff podjął decyzję, wrócił do pokoju ojca i wylał zawartość butelki na śpiącego mężczyznę.

Nie! Szeregowy Shane próbował uciec w inne wspomnienie. Jakiegokolwiek. Próbował nawet wrócić pamięcią do resocjalizacji. Do skazania. Nic to nie dało. Miał przeżyć każdą straszną chwilę.

Ojciec zachrapał i oblizał usta, kiedy chłopiec oblał go alkoholem, ale się nie obudził. Geoff znalazł zapalniczkę obok tanich umojąskich papierosów i skrzesał ogień. Przytrzymał tańczący, pomarańczowy płomień nad ojcem. Popatrzył na śpiącego. Potem upuścił zapalniczkę.

Geoff był zaskoczony, jak wolno rosły płomienie. Był równie zdumiony, że jego ojciec się nie obudził. Dym wypełnił pokój. Geoffowi zrobiło się niedobrze od smrodu spalonego materiału i ciała, zwymiotował. Wybiegł chwiejnie. Płomienie ogarnęły dom. Za późno chłopiec przypomniał sobie, że w drugim pokoju spała jego trzymiesięczna siostrzyczka.

Nie próbował jej nawet ratować. Siedział cicho z głową w dłoniach i zerkał spomiędzy palców na taniec ognia.

Shane zamrugał. Był z powrotem w zbiorniku resocjalizacyjnym i krzyczał z bólu. Rzeczywistość znowu się oddaliła.

Proszę, przestańcie.

We wspomnieniach przeskoczył dziesięć lat do przodu. Osiemnastoletni Geoff Shane zwabił młodą dziewczynę do swojej nory w jakiejś ruderze obietnicą darmowego skręta. Dziewczyna już się naćpała i nie trzeba było jej długo przekonywać. Po kilku minutach całkiem odleciała. Pod powiekami szybko poruszała oczami w narkotycznym śnie. Shane tylko na to czekał...

Szeregowy Shane nie tylko przypominał sobie tamto wydarzenie, przeżywał je na nowo. Czuł prawdziwe podniecenie. I prawdziwą przyjemność. Wrażenie było straszniejsze niż przypuszczał.

Nigdy więcej. Wiedział, co się stanie. Próbował się odwrócić. Nie chciał na to patrzeć. Świadoma część jego umysłu krzyczała błagając, aby wspomnienie się urwało. Nie mógł jednak nawet mrugnąć, o ile nie mrugnęła też jego osiemnastoletnia wersja. Nie mógł odwrócić wzroku, jeśli młodszy Shane tego nie zrobi.

– Pozwól sobie pomóc – usłyszał.

Shane patrzył, jak pierś dziewczyny powoli podnosi się i opada. Uchylił jej powiekę i zajrzał w rozszerzoną źrenicę. Dziewczyna nawet nie drgnęła, była całkiem zamroczona. Podpalił ją. Dopiero wtedy się obudziła. Szeroko otworzyła oczy, w których odbijały się pomarańczowe płomienie.

Stał obok. Płomienie zaczęły rosnąć. Dziewczyna wrzasnęła, aż zadzwoniło mu w uszach. Jak zahipnotyzowany patrzył na jej wykręcające się ciało.

Szeregowy Shane próbował się obudzić. Starał się odzyskać kontrolę nad umysłem, ale zderzył się z niewidzialną barierą. Zergi więziły go we wspomnieniach.

– Pozwól sobie pomóc – usłyszał znowu.

Pochylił się nad płonącym ciałem. Wziął głęboki oddech. Rozkoszował się zapachem. Nie było drugiego takiego w całym wszechświecie. Świeży zapach istoty palącej się żywcem.

Szeregowy Shane upajał się aromatem razem z Shane’em-osiemnastolatkiem. Taki słodki zapach. Niczym woń cygar z nutą karmelu. Zawsze trochę inna, a jednak taka sama.

Szeregowy Shane zaczął rzucać się i obijać o ściany zbiornika. Każde uderzenie bolało, ale miał to gdzieś.

– Pozwól sobie pomóc – słyszał naleganie.

Ogień i ból zdławiły krzyk dziewczyny, ale nadal się ruszała. Kolejny, tym razem ostrzejszy zapach wypełnił pokój. Płomienie buchnęły ze wzmożoną siłą. Shane uśmiechnął się. Szeregowy na nowo poczuł jego radość i zadowolenie. Próbował odegnać te uczucia. Próbował to wszystko znienawidzić.

Okłamywał się i dobrze o tym wiedział. Podobało mu się to. Zawsze będzie mu się podobało.

– Pozwól sobie pomóc – usłyszał znowu.

Przed osiemnastoletnim Geoffem Shane'em oświetlonym przez pomarańczowe płomienie pojawił się opancerzony marine. Shane spojrzął głęboko w świecące oczy obcego. I zamrugął.

* * *

Dwie budowle nadał płonęły w odległości mniej więcej pół kilometra, ale ostatnie krzyki już dawno ucichły. Rój przechodził i przelatywał przez zniszczony posterunek terran. Gruba warstwa biomasy rozprzestrzeniła się nieubłaganie, łapczywie pochłaniając ciała poległych wrogów.

W cieniu unoszących się nadrzędców jedna z naziemnych istot roju upadła na kolana. Stwór nosił pancerz marine Dominion, stalowe płyty ledwo mieściły zdeformowaną, humanoidalną postać. Z otworów wystawały macki i ogromne, mięsiste narośle.

Para świecących oczu wyglądała zza wizjera hełmu. Oddech istoty był miarowy, ale ciężki. Wokół unosił się dym. Stwór powęszył i prychnął. Zapach nie był dość słodki.

W pobliżu zergling przeskoczył nad dymiącym wrakiem zjawy Dominion i zatrzymał się czujnie. Mniejsze, czworonożne stworzenie popatrzyło na wyższą istotę. Szczęki jak brzytwy kłapnęły z zadowoleniem.

Większy stwór popatrzył na mniejszego pobratymca i wziął głęboki, satysfakcjonujący oddech. Rój zwyciężył. Skończone.

Zerg w pancerzu marine uniósł świecące oczy. I zamrugął.